Pomiędzy
Між
Между
Between
Zwischen
Entre

Polonistyczno-Ukrainoznawcze Studia Naukowe
vol. 3/2017, ss. 89–98
www.marszalek.com.pl/between/
DOI: 10.15804/PPUSN.2017.03.07

Władimir Rafiejenko*

Mój przyjaciel Beniamin. *O tym, jak statek filozofów płynął z Doniecka do Kijowa. Historia pisarza, wydawcy oraz pewnej halucynacji***

Nie ma szczęścia na ziemi, prócz ciszy, wolności.
Dawno już mi się marzy los godny zazdrości –
Dawno już chcę, niewolnik, zmęczony śmiertelnie,
Uciec w trudów i czystych rozkoszy pustelnię[1].

Aleksander Puszkin

Nie jestem zbyt towarzyski, ale miałem w Doniecku swój niewielki krąg, który niekiedy trochę się poszerzał, a niekiedy zawężał do grona 3–5 osób. Pamiętam, gdy na skraju przepaści, kiedy zaledwie parę tygodni dzieliło nas od masowego wtargnięcia do miasta uzbrojonych bojówek, pewnego wieczora zebraliśmy się razem w liczbie 5–7. Rozmawialiśmy, usiłując zrozumieć, dokąd też porywa nas wir wydarzeń.

W tamtych dniach nasze lokalne władze zaprzedawały miasto separatystom, a uzbrojeni bandyci i milicja wspólnie „patrolowali" ulice. Koncentrycznie, niczym lęk podczas upadku z wysokości, narastało w nas przeczucie mrocznej

* Kijów (Ukraina).

** Podstawa tłumaczenia: В. Рафеенко, *Мой друг Бенджамен*, „Фокус" 22.07.2016, nr 29, s. 46–51. Redaktorzy tomu dziękują Autorowi za wyrażenie zgody na przekład tekstu.

[1] A. Puszkin, *Czas już, czas, miła! serce o spoczynek prosi*, tłum. M. Jastrun, [w:] A. Puszkin, *Dzieła*, t. I, red. M. Toporowski, Warszawa 1967, s. 471.

otchłani, w którą zwalały się teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Nie pojmowaliśmy jeszcze, co się odbywa, dlaczego do Doniecka nie wkraczają regularne wojska, dlaczego nasze służby mundurowe pozwalają jakimś kanaliom zajmować gmachy administracyjne w centrum miasta, bić i mordować aktywistów ukraińskich. Rozmowy te w niczym nam nie pomogły. Nikogo z siedzących wówczas ze mną przy jednym stole nie ma już w Doniecku.

Kiedy półtora miesiąca później sam porzucałem miasto, panował nieznośny upał. Jeden z ostatnich pociągów relacji Donieck–Kijów odbijający z dworca Donieck Pasażerski był przepełniony. Ludzie bali się wyjeżdżać, bali się zostać. Po peronie przechadzali się nowi królowie życia – uzbrojeni w karabiny bojówkarze.

Mamy zwyczaj szukania w minionym punktu krytycznego, kiedy wszystko mogło jeszcze zmienić się na lepsze, ale poszło w diabły. Zdaje mi się czasem, że punkt taki przekroczyliśmy nie tego ranka, gdy do Doniecka wkroczyły bojówki, lecz wówczas, kiedy miasto opuścił mój przyjaciel Beniamin.

ECHO

Była surowa kijowska wiosna 2016 roku. Druga nasza wiosna w charakterze przymusowych przesiedleńców. Ja i mój przyjaciel Beniamin pociliśmy się w saunie na Padole, obok cerkwi Mikołaja Dobrego w Kijowie. A później, wygrzani, w błogich nastrojach, człapaliśmy niespiesznie ku monasterowi św. Flora, żeby nabrać tam sobie wody. Mieliśmy do tego szczęścia rzut beretem. Słonko spoglądało na nas płochliwie i trwożnie niczym zajączek na kacu. Ono patrzyło na nas trochę spode łba, my odpowiadaliśmy mu tym samym. Ależ nam było potrzebne ciepełko! Dwa lata czekaliśmy na taki dzień, kiedy wszystkim nam, tym, co musieli opuścić miasto rodzinne, nareszcie będzie ciepło. Nie doczekaliśmy się jednak. Bo Doniecka nie wyzwolono ani w sierpniu/wrześniu/październiku 2014 roku, ani na wiosnę 2015, ani w żadnym z kolejnych sezonów, miesięcy, dni czy nocy.

Wynajmowałem z moją rodziną mieszkanie. Beniamin również. Wynajmowaliśmy mieszkania, a więc, co za tym idzie, szalenie potrzebowaliśmy pieniędzy, stałej pracy oraz niestałych fuch. Tkwiliśmy w długach po same uszy. Wyjście do sauny było dla nas czymś w rodzaju rozrzutności graniczącej z brakiem wyobraźni. W tym mieście pieniądze wpadały nam w ręce z trudem. Sam zacząłem już czterdziestą siódmą wiosnę, mój przyjaciel zaś sześćdziesiątą dziewiątą. Przysługiwała mu, rzecz jasna, emerytura, ale ani na wynajem mieszkania, ani na wykarmienie trzyosobowej rodziny jej nie wystarczało. Ale czy wiecie za co

cenię go najbardziej? Za nieustający uśmiech. Cokolwiek by się nie zdarzyło, mój Beniamin zawsze się uśmiechał. Ten uśmiech zamieszkiwał w nim, jak nad rzeką wczesnym letnim porankiem mieszka nieuchwytne rozproszone światło. Światłość biła od tego człowieka w sposób zupełnie oczywisty i naturalny, wpisując nas wszystkich, jego znajomych i przyjaciół, do kręgu wewnętrznej kultury radości bez powodu.

Beniamin jest Żydem. Po pierwsze w tym sensie, że na Żyda wygląda. A po drugie – jego mama i tata, których dobrze znałem, faktycznie byli Żydami. Klasycznymi, jak to mówią: mądrymi, wesołymi, wspaniałymi ludźmi, jacy przeżyli niełatwe życie w ojczyźnie zwycięskiego proletariatu. Cała jego rodzina była akurat z tych właśnie Żydów, którzy od niepamiętnych czasów zasiedlali kolonię żydowską rozrzuconą po obu brzegach Kalmiusa. Wraz z upływem czasu i wzrostem postępu technicznego kolonia stała się jednym z centralnych osiedli Juzowki. Mijały lata, Juzowka przepoczwarzyła się w miasto Stalino, przemianowane z kolei na Donieck.

Niewielki, trzypiętrowy, „garnizonowy" budynek jawił się wzorcem absolutnie niesowieckiej zabudowy miejskiej. Sufity mieszkania Beniamina przyjemnie zadziwiały wysokością. Dziś wyławiam z pamięci to, czego wówczas nie byłem w stanie zaabsorbować choćby na poziomie refleksji. W tym mieszkaniu zawsze pobrzmiewało niesłyszalne echo. Wychodziło z obrazów na ścianach, z książek ogromnej biblioteki, z pożółkłych klawiszy sędziwego pianina. Starymi fokstrotami i tangami przebijało się z przedwojennych fotografii. Wybrzmiewało z oparów gęstego papierosowego dymu szyderczym śmiechem w opowieściach jego ojca. Wyglądało zza ukradkowych uśmiechów jego matki.

Swoista kolektywna pamięć przenikała ów stary dom niczym macę wrzuconą do kielicha z wytrawnym czerwonym winem. Echo to, w istocie, było pogłosem wolności, pomagającej nieraz tutejszym lokatorom grać zarówno w te złe, jak i te dobre gry naszego świata i wychodzić z nich cało. Jestem przekonany, że echo pozostało tam po dziś dzień, że pozostanie tam na zawsze. Niesłyszalne echo śpiewa nocą stare piosenki, rozkołysuje dom płynący po falach czasu. Przetrwa, nawet jeśli pokoje te zasiedlą obcy ludzie. Nawet jeśli w dom trafi zabłąkany pocisk. Nawet jeśli nic nam o tym nie będzie wiadomo. Nawet jeśli nie będzie nas.

To tutaj właśnie, o ile pamiętam, Beniamin realizował swe najważniejsze projekty, składał rozmaite, zaskakujące niekiedy książki. Pisma św. Augustyna i Plotyna, tomiki wierszy miejscowych poetów, moje pierwsze nowele, przeglądy literaturoznawcze Donieckiego Uniwersytetu Narodowego, studia folklorystyczne Kateryny Hruszewskiej, tomy Mychajła Drahomanowa, raporty

ekspedycji folklorystycznej Pawła Czubińskiego, studia nad folklorem, gazety i ulotki reklamowe. Pod oknem wychodzącym na tory tramwajowe tworzył jedyne w mieście ukraińskojęzyczne czasopismo „Kalmius". A także almanach artystyczno-literacki „Mnogotoczije" („Wielokropek") – chyba najbardziej przyzwoite rosyjskojęzyczne wydawnictwo ze wszystkich, na jakie zdobyło się nasze miasto w kolejnych epokach swojego istnienia.

Prawdę mówiąc, Beniamin periodycznie przelatywał ze swojego gniazda rodzinnego do innych mieszkań. Ale gdzie tylko by nie rezydował, jego siedziba nieodmiennie stawała się tym miejscem, w którym spotykali się pisarze i poeci piszący i rozmawiający różnymi językami. Ludzie ci często nie dogadywali się między sobą, lecz każdy z nich zupełnie szczerze uważał Beniamina za swego przyjaciela. Zbieraliśmy się w kuchni, dyskutowaliśmy i piliśmy wino. Śpiewaliśmy piosenki po ukraińsku, rosyjsku, niemiecku, białorusku. Sprzeczaliśmy się, wściekali, wyklinaliśmy się nawzajem na śmierć, aby znów spotkać się na orbitach przechodzących w strefie przyciągania tego człowieka. Tak więc, trzeźwo kalkulując, w przedwojennym Doniecku stolicą Ukrainy był dom Beniamina. Myślę czasem, że właśnie w tym domu sformułowały się praprzyczyny tej wojny, jego i mojego osierocenia, danego nam, by niektórzy przejrzeli na oczy, danego ku przestrodze dla wielu, by mógł kształtować się naród polityczny, by zaistnieć mogło wszystko to, co po latach stanie się naszym życiem.

U bram monasteru św. Flora Beniamin zatrzymał się i, spoglądając gdzieś ku górze, zagadnął niewidzialnego rozmówcę:

– Dzisiejszy Donieck dla mnie nie istnieje…

Zwróciwszy się zaś do mnie, kontynuował:

– Na jego miejscu w mej duszy pojawiła się wielka biała plama. Tamten Donieck, w którym żyłem, pozostał już tylko w mojej pamięci. Rozumiesz, to dokładnie tak jak, dajmy na to, Juzowka, pozostająca jedynie w pamięci mojej babci i innych staruszków.

Chwilę pomyślał i dorzucił:

– A oprócz tego moje miasto żyje na fotografiach.

UCIECZKA

Należy powiedzieć, że Beniamin jest gorącym patriotą Ukrainy, „ukraińskim faszystą" – w najlepszym sensie tego słowa. W ostatnich latach pisał wiersze po ukraińsku, dużo tłumaczył na ukraiński z rosyjskiego, hiszpańskiego czy

angielskiego. Zdaje się, żadnego z tych przekładów w końcu nie opublikował. Tłumaczenie ukochanych tekstów na ukochany, choć nie ojczysty przecież język, było dlań życiową koniecznością. Nijak nie potrafił „przemówić czysto" po ukraińsku i zadręczał się tym jak dziecko.

Jego żona i córka również rozmawiały w domu po rosyjsku. Ale tak jak i on wyznawały ukraińską ideę. W czasie Majdanu, jesienią, zimą, a potem także wiosną 2014 roku jego córka kończąca filologię na uniwersytecie świadomie i na każdym kroku, zarówno na uczelni, jak i poza nią, broniła swoich przekonań. Już wtedy było to niebezpieczne. Ale oni chyba nie przeceniali kwestii bezpieczeństwa. Począwszy od zimy, Beniamin i jego rodzina uparcie i metodycznie uczęszczali na wszystkie demonstracje organizowane przez ukraińskich aktywistów, przychodząc na nie nawet wówczas, gdy było to skrajnie ryzykowne.

Manifestacje te były w praktyce dwudziesto-trzydziestoosobowymi zebraniami pod pomnikiem Tarasa Szewczenki w centrum Doniecka. Ludzi tych ganiała milicja, grozili im „przypadkowi" przechodnie, oblewano ich zieloną farbą, obrzucano kamieniami i żelaznymi prętami. Rzeczywistość przyspieszała. W mieście coraz częściej pojawiali się przybysze z Rosji lub „zorganizowani na miejscu" prorosyjsko nastawieni obywatele. Ich wodzirejami byli przeważnie dziarscy, energiczni młodzieńcy, sądząc po akcencie – również wezwani do tych zadań z daleka. Potrafili rozbujać tłum, wykrzykiwali prosto w twarz Beniamina, jego żony i córki, a także innych dorosłych i dzieci, którzy zaryzykowali wyjście z naszą flagą pod pomnik: „Faszyści!"

A dzieci, zalewając się łzami pod wpływem tej obelgi, szoku, niezrozumienia sytuacji, wołały w odpowiedzi: „kochamy was!" Ale, ma się rozumieć, żadne wyznania miłosne nie mogły pomóc tym dzieciom, zakochanym w ojczyźnie, w jasności umysłu, w dobroci i elementarnej przyzwoitości. Dobroć nie zwycięża nigdy. Szczęście to absurd. Silny – znaczy słuszny. Światło – znaczy mrok.

W Doniecku tymczasem nastał czarny sezon teatralny – życie zmieniało swe dekoracje. Rosjanie na gościnnych występach oraz lokalni miłośnicy Wielkiej Rosji i „russkogo mira" zrywali zewsząd ukraińskie flagi. Zupełnie unicestwiano wszelką symbolikę związaną z państwem ukraińskim. Pamiętam szok dyrektorki Muzeum Sztuk Pięknych Hałyny Czumak, kiedy z tabliczki muzealnej kolbami wybito ukraiński herb. Staliśmy przy muzeum, w którym fala uderzeniowa wymiotła wszystkie szyby, a ona wskazywała to na okaleczoną tabliczkę, to na ordę wałęsającą się przy gmachu zarządu obwodu.

Nastał czas bezrozumny. Zachowanie rozumu było trudne po prostu dlatego, że świadomość nie dawała wiary rzeczywistości. Wzbraniała się przed zrozumieniem, jak to wszystko możliwe. Po całym centrum Doniecka, to tu, to tam, rozkwitały rosyjskie barwy. Przypominam sobie mocno zamroczonych ludzi snujących się z trójkolorową flagą bulwarem Puszkina po kolejnym prorosyjskim mitingu. Sprawiali wrażenie zagubionych, zerkali na nieznane im miasto, szybko zanurzające się w wiosennym zmierzchu, milczeli, pospiesznie sącząc z gwinta alkohol, mówili coś o pieniądzach otrzymanych „za akcję".

Od maja 2014 córkę Beniamina zaczęto szykanować na uniwersytecie. Wyzywali od faszystek, do sieci wrzucili jej zdjęcie z adresem i podpisem: „Ona zdradza Doniecką Republikę Ludową". Trwało otwarte polowanie na proukraińskich aktywistów i stało się jasne, że należy wyjechać.

Parę miesięcy przed wkroczeniem do miasta Girkina-Striełkowa z jego „urlopowiczami" i „pospolitym ruszeniem" Beniamin wraz z rodziną wyjechał, licząc, że powróci w najbliższym czasie, gdy tylko wojsko ukraińskie weźmie miasto pod swoją kontrolę.

Opowiadał mi później, jak płakali z radości, gdy ujrzeli na dworcu w Dnieprze ukraińskie flagi, ludzi w haftowanych koszulach, gdy usłyszeli ukraińską mowę. Początkowo planowali jechać do Lwowa, bo po Doniecku pragnęli znaleźć się tam, gdzie możliwie jak najmniej osób rozmawia po rosyjsku i gdzie nikt nie wygraża za mówienie po ukraińsku. Tak się jednak złożyło, że przyjął ich Kijów. W odróżnieniu od, nawiasem mówiąc, wielu innych przymusowych przesiedleńców, którzy uciekli przed dobrodziejstwami „russkogo mira". Dobrzy ludzie pomogli, Beniamin miał do nich w życiu więcej szczęścia niż do złych.

DROGA

Zbliżając się do źródła św. Flora i słuchając Beniamina, myślałem o tym, że na tle ogólnej kanwy epoki my wszyscy wyglądamy jak ciepłe, lecz nazbyt rozproszone refleksy światła. Coś jak plamy, które tworzą się od gry świateł i cieni na klasztornych alejkach. Łzy przed oczyma, gdy niczego nie można zobaczyć jasno, kiedy wszystka natura rozpływa się przed tobą, dają taki sam efekt. Nasze osobiste losy takie właśnie są: ulotne, incydentalne, mało kogo interesujące… Wciąż śpieszą, by rozpłynąć się niczym promień w zimnej wodzie, by nie pozostawić po sobie śladu. Jeszcze trochę – i zapomnimy sami, jakimi byliśmy.

Ale na razie pamięć jeszcze trwa.

Kiedyś, jakąś dekadę przed wojną niniejszą, miałem czelność uważać się za rosyjskojęzycznego (rosyjskiego?) pisarza i niezłego filologa. A potem Beniamin i ja zaczęliśmy oddalać się od siebie na tle jego bezkompromisowej i niezachwianej wiary, która zdarza się u początkującego neofity, w niepodległość i wspaniałe losy narodu ukraińskiego. Ale rzecz była tu nie w narodzie, nie w jego losach i nie w jego majestacie. Rzucając się w pewnym momencie życia w objęcia ukraińskiej idei, przyjaciel mój namiętnie i szczerze oddał się krytykowaniu, a potem nawet nienawiści do pewnych kodów kulturowych tylko dlatego, że bazowały one na kulturze rosyjskiej. Pamiętam, jaki przeżyłem wstrząs, kiedy Beniamin ogłosił nowinę: Puszkin to grafoman. Najwyraźniej odkrycie to nie dawało mu spokoju, męczyło go nieco, więc zdecydował się zakomunikować mi je bezzwłocznie, kiedy tylko przekroczyłem próg mieszkania. Wchodzę więc, a on uśmiecha się nerwowo i od razu wali z grubej rury:

– Puszkin to grafoman, wcale nie umiał pisać wierszy!

– Jak to? – aż odskoczyłem. – Dlaczego?

– A tak to, – odparował Beniamin, pewnym krokiem wkraczając do domu – wiersze głupie, dlatego. Poczytaj uważnie. A ta proza? Żydki tam u niego, proszę ciebie, wszędzie. Co tu gadać, grafoman absolutny. A Taras Szewczenko to geniusz, i proszę mi tu nie pieprzyć!

– Benia, no i cóż ty opowiadasz? – usiadłem na krześle, w oszołomieniu wpatrując się w przyjaciela. – Oj, tylko nie zaczynaj! –wymachiwał rękoma przed moim nosem.

– Nie zaczynam, ale, morduchno ty moja, Puszkin był poetą niezrównanym. Nawet szef policji musiał to przyznać.

– Nędzny grafoman! – Beniamin wyjął z kieszeni chustę i otarł nią spocone czoło – Chodźmy na piwo! A polityka Rosji to polityka silnego, lecz bezmózgiego drapieżnika – dodał, patrząc na mnie wyzywająco.

– Cóż, polityka rządzi się swoimi prawami – rozłożyłem ręce. – Nie mówiąc już o świecie zwierząt.

– Idziesz na to piwo? – zapytał surowo.

No i poszliśmy. Wpłynęliśmy na przestwór, omijając ostrowy. Lecz kolejne dni, coraz to dalej odwodziły mego Beniamina ode mnie. Nasze zażyłe niegdyś kontakty stały się epizodyczne. Stopniowo oddaliliśmy się także i w ludzkim sensie. Albowiem ja nieodmiennie nie byłem gotów uznać Puszkina za grafomana, jak i Dostojewskiego – za idiotę. Pal, zresztą, licho tego całego Dostojewskiego, ale Puszkin trochę mnie bolał. „Czas już, czas, miła! serce o spoczynek prosi,

dzień za dniem leci, każda godzina unosi – Cząsteczkę życia, a my razem żyć pragniemy. I razem, tylko patrzeć, oboje umrzemy”[2] Albo to: „Ej, śmierci, oszukujesz nas. Cóż, słusznie, ograj nas do kości”. „Milcz, chłopcze, z ciebie kiep, jak sądzę. Przecie nie gramy na pieniądze. Lecz aby przetrwać czas wieczności!”[3] Niegłupio napisane, zgodzicie się chyba.

Szkopuł tkwił jednak nie w Puszkinie, lecz w czymś zupełnie innym, co wszystkim nam nie dawało wówczas spokoju. Coś wisiało w powietrzu. I, prawdę powiedziawszy, w owych czasach, także i we mnie zaczęła dojrzewać pewna rewizja rosyjskich koordynat kulturowych. Dojrzewała ona boleśnie i z wielkim trudem, a niekiedy była wręcz nie do zniesienia z przyczyn rodzinnych i osobistych, więc na szlak ten musiałem wyruszyć samotnie.

BÓL

Gadać można sobie do woli, ale zdziałać udaje się tylko to, w co się naprawdę wierzy. Sądzę, że agresja rosyjska jest tym, co związało nas ze sobą ponownie. Różny można mieć stosunek do Puszkina, ale żeby tak wystrzelić jak kulą w płot samym sobą, należy dokonać świadomego wyboru. Zostawiliśmy swoje domy, życia, swoje miasto, zerwaliśmy mnóstwo więzi, także rodzinnych i przyjacielskich. I oto po dwóch latach czyśćca, po wyjściu z sauny na Padole, drepczemy do stacji metra Kontraktowa. W butli chlupie woda z monasteru św. Flora. Nastrój może nie znakomity, ale po łaziennych ablucjach znośny. Czuję, że dojrzewa jakaś rozmowa, nie ponaglam jednak.

– Taka sprawa... – powiada mój Beniamin, uśmiechając się z pewnym poczuciem winy – lat już mam sam wiesz, ile… Zdrowia, szczerze mówiąc, akurat na mój wiek. Z pracą, tutaj, sam wiesz…

– No i co? – odpowiadam, uważnie studiując promienie słoneczne tańczące w oknach budynków.

– Będę miał w Izraelu emeryturę, jeżeli tam pojadę. – Beniamin milknie, zatrzymuje się i patrzy na mnie wyczekująco.

– No i w czym problem, Beniaminie? – uśmiecham się. – To dobre wieści. Idź do konsulatu i uruchamiaj procedurę wyjazdu.

---

[2] Ibidem.

[3] A. Puszkin, *Szkice do pomysłu na temat Fausta*, tłum. J. Waczków, „Literatura na Świecie” 1987, nr 3, s. 128.

– Ale ja już tam dzwoniłem i oni coś nie odbierają… – komunikuje znużonym głosem. Idziemy dalej.

– Bo ty sam się jeszcze nie zdecydowałeś – jechać czy zostać, dlatego nie odbierają – kiwam głową. – Zdecyduj coś na pewno, a wszystko uda ci się od razu.

– Kiedy ja właśnie nie wiem…

– Czego ty nie wiesz, mój drogi?

– A co z Ukrainą? Co z nią? – pyta naraz Beniamin.

I raptem ściska mnie w gardle. Brakuje powietrza, jeśli wiecie, co mam na myśli. Muszę się koniecznie zatrzymać, udać, że coś mnie wielce zainteresowało, tam, w górze, rozbłyskującej ponad krzyżami, kasztanami i obłokami.

– Będzie okej – mówię – nic się nie martw, Beniamin. Przecież ja tu na razie zostaję, znaczy, że będzie okej.

– Nie no, jakże to tak – wzdycha on. – Ukraińcem przecież jestem. Jak stąd wyjechać? Jak rzucić to wszystko?

– Chryste Panie! – odpowiadam. – A bądź sobie Ukraińcem, Benia! Nikt cię przecie nie zmusi, żebyś nim nie był, pomyśl własnym rozumem. A jak się stęsknisz, to wynaleziono na takie okazje tanie loty. A ja, w tym czy innym wynajętym mieszkaniu, zawsze rzucę ci na podłogę jakiś materac albo koc. Ołesia Mamczycz, fantastyczna poetka, dwa lata temu sprezentowała mi trochę koców.

– No coś ty, naprawdę uważasz, że okej?

– Beniaminie, ile ty masz lat? – pytam.

– Sześćdziesiąt dziewięć – uśmiecha się nieśmiało.

Kiwam głową i idziemy dalej. Temat zamknięty.

OKAMGNIENIE

Mija może półtora miesiąca. Akurat na wielki post Beniamin dzwoni i oznajmia, że odlatuje za dwa tygodnie.

– Szybko jakoś – przełykam nieprzyjemną lepką ślinę.

– Wiesz, można było dwa miesiące później, ale jak pomyślałem, że znowu mam płacić za mieszkanie…

– Tak – mówię. – Płacić za mieszkanie…

Post postem, a przyjaciel przyjacielem. Jakiś tydzień po święcie Podwyższenia. Spotykamy się u mnie. Pijemy wytrawne wino. Rozmawiamy o wszystkim na świecie.

– A cóż będzie z twoją biblioteką? – pytam. – Co z Puszkinem?

– Ściągnąłem sobie z sieci dzieła wszystkie – komunikuje w zadumie Beniamin. – Tak na wszelki wypadek. I nie tylko jego. Na dyskach mam wszystko. I Cervantesa, i Hruszewskiego, i Leskowa, i Drahomanowa, i Szekspira, i Szewczenkę, i wszyściuteńko, co chciałoby się zabrać ze sobą. Wszystko, co wydawałem, co kochałem, i zapamiętałem.

Koło północy odjechał taksówką. Nie pojechałem odprowadzić go na lotnisko.

Beniamin napisał do mnie list, a potem nawet zadzwonił z Nahariji. To takie miasto w dystrykcie północnym Izraela. 60 tysięcy mieszkańców, w granicach administracyjnych – 10,5 km^2. Północ Izraela to zadziwiające miejsca, łagodne morze, niebo, w którym aż chce się utonąć…

Pewnego razu przyjechałem na plac Kontraktowy specjalnie po wodę. Padał drobny deszczyk, było chłodno, szaro, chciało się rzeczy nieokreślonych. Na przykład pójść spać albo, dajmy na to, opróżnić butelkę wódki. Nabrałem wody, poszedłem w dół, usłyszałem, jak podjeżdża mój pociąg, i pośpiesznie ruszyłem po schodach. I, ma się rozumieć, nie zdążyłem. Jak miałem zdążyć? Nigdy donikąd nie zdążam. Zresztą, może i lepiej, że tak wyszło, bo z okna ostatniego wagonu spoglądał na mnie mój przyjaciel Beniamin. Stał przy samych drzwiach, uśmiechał się i machał ręką.

Oblałem się potem jak mysz i długo nie byłem w stanie złapać oddechu. Przez kilka dni wspominałem twarz tamtego człowieka, odnotowując, że był o wiele młodszy od mego przyjaciela; przekonując sam siebie, że zaszła pomyłka, zwyczajne dzieje w wielkiej metropolii. Teraz jednak przyszło mi do głowy, że zdarzyło się coś zupełnie innego. Być może to właśnie nazywamy miłością. Takie są efekty, kiedy wyjeżdżamy tylko po to, aby pozostać na zawsze.

Tłumaczenie z języka rosyjskiego: Marcin Gaczkowski